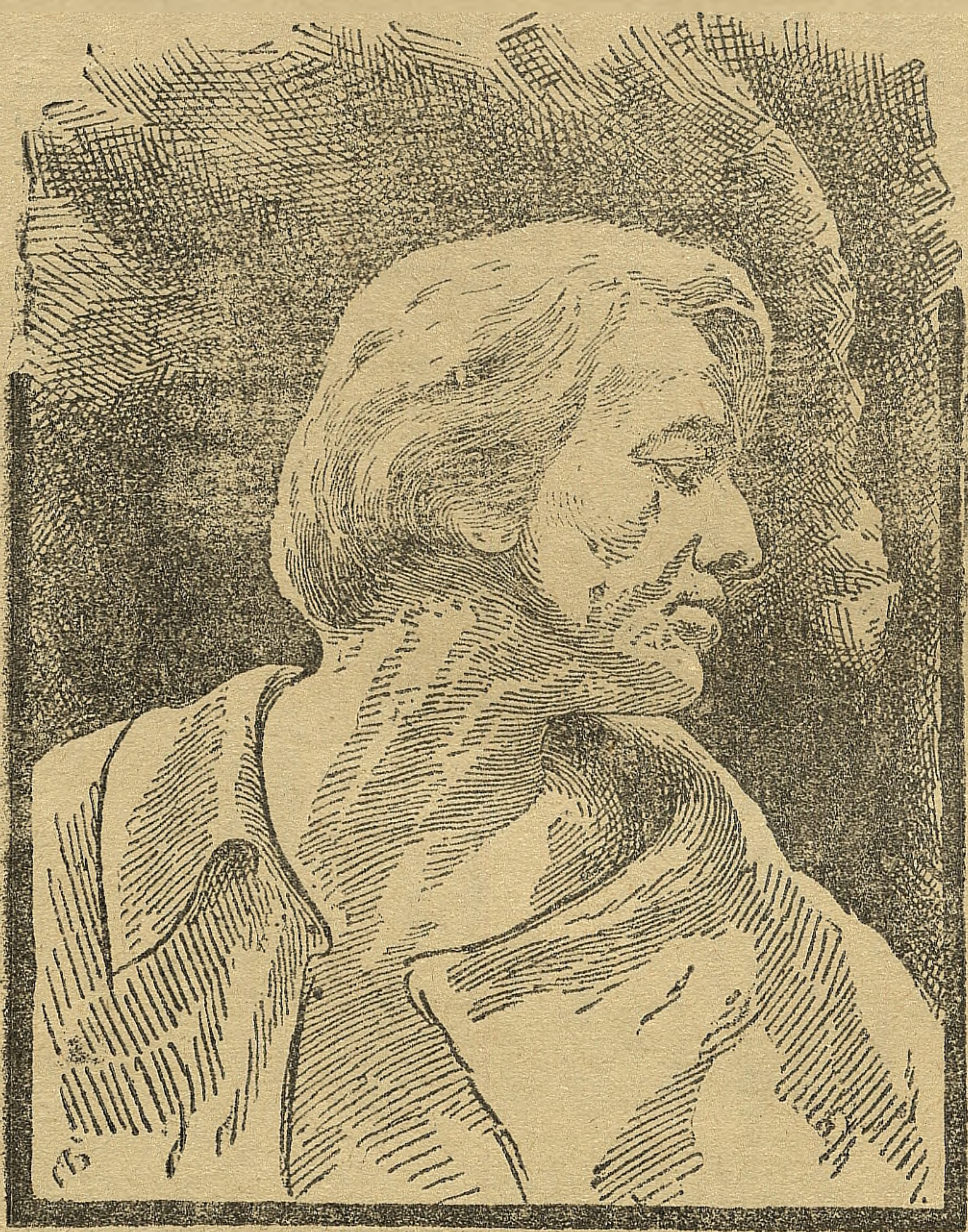


NASZA CHWAŁA.

Fryderyk Chopin (Szopen).

Cały świat muzyczny obchodzi w roku bieżącym stuletnią rocznicę urodzin największego mistrza tonów Fryderyka Szopena, który urodził się dnia 22-go lutego r. 1810 w Żelaznej Woli, położonej niedaleko Warszawy nad rzeczką Utrata.

Wszyscy ludzie, bez różnicy narodowości, rozumiejący muzykę i posiadający uczucie rozkoszuja się utworami Szopena, które są nadzwyczaj melodyjne, rzewne, harmonijne, a przytem tak nawskroś oryginalne czyli odrębne, samoistne, że w całym świecie niema im podobnych.



FRYDERYK CHOPIN.

A nam Polakom serce rośnie, że ten sławny i przez wszystkich ceniony i lubiony kompozytor to nasz rodak, że jego utwory dlatego są takie rzewne, melodyjne i odrębne, ponieważ mistrz wyśpiewał całą duszę polskiego narodu i cały urok polskiej przyrody, jak to wyraził jeden z poetów:

Ciepły wieczór zapada, gwiazdy jasno świecą,
Brylantów księżyc w wodę rzuca miliony.
Cisza. Tylko od wioski przytłumione leżą
Skrzypiec rżnących od ucha i basetli tony.

Drżą a leżą, i tchnieniem owiane wieczoru,
Oblane strugą srebra, którą księżyc leje.
Skąpane w woni sosen, co płynie od boru,
W zapachu sianozęci, co od łąki wieje.

Jasne, uszlachetnione, a jednak pokrewne,
Miłościwe, aż słowik zdumiony ich słucha,
Niby hulaszcze, gromkie, a słodkie, a śpiewne,
Mazurkiem chopinowskim wpadają do ucha.

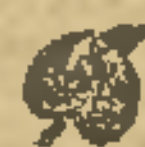
Umilkły. Ale co to? jakby się rozgrała
Dokoła niej przyroda harmonią znów nową...
To się Preludyami skarży brzoza biała,
To Polonezem szumi jawor ponad głową.

Wszystko gra: strumień dzwoni i szemrzą żdźbła trawy,
Płaczą lilij kielichy, kwilą piosnkę drzewa;
Echo płynie, gdzie zawisł obłok mgły białawy,
W chopinowską się nutę wszelki odgłos zlewa.

Fryderyk Szopen umarł niestety zawcześnie dla rodziny jego, przyjaciół i świata muzycznego, bo żył niespełna lat 40 (umarł dnia 17-go października r. 1849). Sam on jednak zapewne tęsknił do spokoju, jaki daje śmierć, albowiem życie jego bardzo było smutne, gdyż choroba piersiowa utrudniała mu pracę a tęsknota za krajem ojczystym kirem smutku zasłaniała każdy uśmiech życia.

Niestety naród nasz wówczas nie posiadał tych warunków, aby mistrza zatrzymać mógł wśród swoich i otoczyć go dobrobytem i chwałą. Tem większa jednak cześć należy się Szopenowi, że pomimo to, pomimo nawet, że po ojcu do francuskiego należał narodu — jednakże mistrz zawsze czuł się Polakiem, zawsze do Polski tęsknił i talent swój całkowicie Polsce poświęcił, stawiając ją mocą swego geniuszu w pierwszych szeregach narodów kulturalnych.

Wieczna mu za to dzięki i cześć!



POGADANKI STAROPOLSKIE.

Obiadek u pana Rotmistrza.

(Ciąg dalszy).

Pod koniec obiadu kielichy krążyły gęściej, kobiety nawet musiały małym kieliszkiem odpowiedzieć za wypite na cześć ich zdrowie. Jedna tylko chorążanka wymówiła się od wiwatu stanem swoim panińskim i młodym wiekiem, — co słysząc, Buchmann szepnął proboszczowi w ucho:

— Panieństwo dobra ekskuza, ale co do wieku, przeczę! Już cię wino, zbutelkowane przy jej chrzcinach, miałoby czas się wytrawić!

— Czwarty krzyżyk zaczęła Imościanka, — rzekł z cicha proboszcz, — ale to sekret, o którym może i ona sama nie wie, bo matką zawsze powtarza: moja Domicelka dwudziesty rok skończyła!

— Cóż to, księżu dobrodzieju, — ozwał się rotmistrz, — czy spowiadasz pana podsędka? Oj, dobrze robisz, bo to stary grzesznik. Prawda, że bardzo tego nie widać, ale to cicha woda, brzegi rwie!

Zaśmieli się wszyscy; Buchman i proboszcz, załapani, jak koty przy mleku, zagadali materję żarcikiem; poczem za danym przez gospodarza przykładem powstano od stołu i wesołe towarzystwo przeszło do bawialnego pokoju, gdzie po niejakić chwili, na prośbę kobiet, a szczególnie pani matki, chorążanka po długiem opieraniu się i fochach, zaśpiewała przy odstrojonej rotmistrza gitarze:

Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
A ktoś tam klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem... i t. d.

Po Filonie nastąpiła piosnka: Płynie potok dołina, i chorążanka, wzdrygająca się zrazu, wpadła

w taki artystyczny zapal, że już obiecała śpiewać: Ledwie pierwszy promień błysnie. Szczęściem, gitara rozstroiła się do reszty, a pan Buchman, chcąc uorganizować instrument, tak ponaciągał struny, że dwie mu odrazu pękły, co zmusiło do zaniechania dalszych trelów.

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi naroścież, wbiegła Julisia, nakryła stół białą holenderską serwetą, a Łukasz postawił ogromną tacę z filiżankami i kawą i koszyk ze świeżymi, lukrowanymi sucharkami.

Gospodyni, nalewając wrzący napój i ofiarowując gościom, spytała:

— A pan brat, czy dziś pozwoli?

— Dziękuję, siostruniu, — odpowiedział rotmistrz, — zjem tylko kilka sucharków, bo mi jakoś czczo w żołądku, a zamiast waszego tureckiego specyału, wolę dla przeplukania szklankę mego butelkowanego piwka.

Zaczęła się rozmowa o kawie i o jej preparowaniu. Kobiety utrzymywały, iż dla smaku potrzebna jest koniecznie cykorya, mężczyźni byli przeciwnego zdania, szczególnież ksiądz proboszcz, zawołany amator wszelkich suszonych, smażonych i filtrowanych delikatesów.

— Nie tak to dawne czasy, — odezwał się chorąży, — jak kawa zaprowadziła się w naszym kraju. Miałem około dwadzieścia lat, gdym po raz pierwszy w życiu, na imieninach u stolnika Gądomskiego, zakosztował tego gorącego inkaustu. Była to wówczas wielka raritas, każdy więc z gości, krzywiąc się połykał, a choć mu nie smakowało, chwalił. Prawdać, że w onych czasach nie umiano jeszcze preparować napoju; w imbrykach ziarenek było niewiele, zamiast dzisiejszej cykoryi, używano suszonej marchewki, a słodzono miodem, gdyż cukier pokazywał się tylko na stołach magnatów, a w pomniejszych miastach nie dostałeś go, chyba u aptekarza, na leki.

— Co do marchewki, święta prawda! — rzekł pan rotmistrz, — sam słyszałem, jak pan Michał Krasiński, marszałek konfederacyi Barskiej, opowiadał następną dykteryjkę. Jechał raz do Warszawy i gdzieś koło Zgierza zламаło mu się koło u landary, szczęściem, że nie na polu, ale wśród wioski, przed samym domem właściciela.

Widząc z okna przypadek i miarkując po suchych zaprzęgach i licznej kalwakacie, że to musi być pan nielada, wybiegł szlachcic na drogę, ofiarowując pomoc; a że była szaruga i zimno, zaprosił dostojnego gościa w swoje progi ubogie.

Stelmach był we wsi, ale reperacya miała zająć godzinę czasu, więc gospodarz wraz z żoną, gościnni ludziska, pytają, czy jw. pan nie zjadłby czegoś? — Podziękował, wymawiając się, że tylko co po obiedzie.

— Może szklaneczkę dobrego piwa? — rzekł szlachcic — (gdyż wina nie miał w domu).

— Bardzo dziękuję!

— Może kawy? — zapytała gospodyni, — właśnie się gotuje.

Marszałek, chcąc im zrobić satysfakcyę, przystał na kawę. Wybiegła sama jejmość do kuchni, żeby jak najlepiej przyrządzić specyał dla dostojnego gościa. Po niedługim czekaniu wniesiono imbryk i nalano ogromną szklanicę.

Kosztuje marszałek, aż tu okropna lura, czysty smak wygotowanej marchewki. Skrzywił się delikatek, jednak przez greczność cedzi przez zęby, wreszcie postawił na stole i konwersacyą chce zagadać rzecz.

— Cóż to? jw. pan nie pije? — pyta szlachcic.

Wziął więc szklankę z rezygnacyą, połknął trochę, ale czując, że miszkulancya za bardzo niesmaczna, znów postawił.

— Ostygnie kawa! — powiada gospodyni. — Wszakże dobra? Niechże jw. pan dobrodziej pije!

Tu już Krasiński nie mógł dłużej wytrzymać, a że był figlarz i weredyk, odpowiedział jej w te słowa:

— Ot, przyznam się acani dobrodzie, że gdyby to było posiekane w kosteczki i okraszone młodą słoninką, tobym nie odmawiał, ale tak, rozgotowanemu w wodzie i osłodzonemu, Bóg widzi, że nie mogę podolać!

Na szczęście wszedł kamerdyner, donosząc, że koło zreperowane, uwolnił się więc późniejszy marszałek od gościnnych greczności, lecz długo pamiętał i rozpowiadał o marchwianym napoju.



SZKOŁA NA WODZIE.

Pani Harrimen w Nowym Jorku, wdowa po miliarderze, zakupiła wielki statek i urządziła go na szkołę dla dzieci biednych a chorowitych, dla których siedzenie w dusznych budenkach szkolnych byłoby szkodliwe. Dzieci spędzają na statku cały dzień, dostając oprócz nauki także pożywienie. Jeżeli pobyt na świeżem morskiem powietrzu okaże się korzystnym dla zdrowia dzieci jak się tego pani Harrimen spodziewa, wtedy szlachetna ta dobrodziejka urządzi takie szkoły nawodne we wszystkich większych miastach Ameryki, położonych w pobliżu wody.

Przy podobnych opowiadaniach, zeszedł czas do wieczora, a gdy przyniesiono światło, chorąży, major, podsedek i rotmistrz zasiedli do partyjki kiksa. Kobiety gadały między sobą o projektowanych małżeństwach w powiecie, o warszawskich sklepach, o zbiorze lnu i konopi, o robieniu domowych konfitur itd. A ksiądz proboszcz, widząc, że młody syn pana majora się nudzi, zaproponował mu zagrać z nim w maryasza, pod następnymi warunkami: Jeśli wygrasz, kochanku, dostaniesz obrazek, a jeśli przegrasz, zmówisz paciorek.

Chłopiec, lubiący obrazki, przystał chętnie na wyzwanie; ale choć jako tako rozumiał grę, nie sprzyjała mu fortuna. Proboszcz miał zawsze Pamfilę, maryażów bez liku, a po zebraniu ostatniej, zabijał mu kozerami obce tuzy i kralki. Recytował nieborak przegrane modlitwy, lecz te głosy nie musiały iść w niebiosy, bo chłopak był zmartwiony niepowodzeniem i łza zakręciła mu się w oku. Dla pocieszenia go ksiądz naumyślnie przegrał partyję i, dobywszy z kieszeni brewiarz, wyjął z niego kolorowany wizerunek Matki Bożej i dał uradowanemu partnerowi.

Właśnie chorąży z podsędkiem, dawszy przeciwnikom zapowiedzianego kiksa, zabrali wielką i długo dysputowaną pułę, gdy Łukasz przyszedł oznajmić, że kolacya na stole.

Skończyły się gry mężczyzn, rozmowy kobiet i towarzystwo pospieszyło do jadalnego pokoju.

Mimo sutości obiadu, kawy i sucharków, znalazł się jeszcze apetyt. Podsedek, pałaszujący, jak drudzy, zrobił uwagę, że w Polsce za wiele jedzą. Na co odrzekł mu pan major:

— To też dawne przysłowie powiada:

We Włoszech się uczyć,
W Niemczech się obłóczyć,
We Francyi dyskurować,
A w Polsce bankietować.

Skończyła się kolacya, wstano od stołu i chorąży zabierał się do rozprowadzenia rozpoczętej materji, gdy żona zbliżyła się do niego, mówiąc:

— Piotrusiu! trzeba jechać, bryka już zaprzężona, a wiesz, że Misia delikatne dziecko, jak późno pójdzie spać, to nazajutrz głowa ją boli.

Chorąży wyjął zegarek, pocisnął sprężynę, wybiła dziesiąta, obciągnął więc pasa i poszedł szukać łaski i czapki. Proboszcz przed chwilą był się już pożegnał i wyszedł. Inni goście zabierali się także do odjazdu, a pan major rzekł:

— Niepięknie to najeść się, napić, a potem odjeżdżać, ale komu w drogę, temu czas!

W kilka chwil całe towarzystwo, podziękawszy rotmistrzowi za tak wesoło spędzony dzień w jego domu, rozjechało się — każdy w swoją stronę.

Fryderykowi Chopinowi.

Cześć tobie, mistrzu! bo gdyś pieśń swą tworzył,
Brałeś w pierś swoją czucia serc tysięcy,
I duchaś swego wielkiego ukorzył,
Choć ku błękitom się rwał najgoręcej.
Anioł melodyi w twojej pieśni ożył,

A przy nim stał inny duch — bliźniący —
Anielski niemal, skrzydlaty i złoty,
Duch wiekuistej, zaziemskiej tęsknoty!
Co duszę koi i co ją rozżala,
Każdy głos tęsknoty, potężny i szczytny,
Zmiennych wciąż uczuć nieprzebrana fala
I każdy promień radości przedświtny —
Wszystko w czarownych dźwięków zawierusze
Znalazło sobie wyraz swój i duszę.

Polonez Szopena.

Buchnął polonez... Zda się — widzą oczy:
Wspaniałe pochod mar, gdzieś w słońce płyną,
Zwolna się orszak uroczysty toczy —
Wije. O patrzaj! — patrz-że — zanim miną!
Już coraz dalej, już je dał gdzieś mroczy,
Już bledną, nikną, już w mgle srebrnej giną —
Odeszli, w cichej utonęli toni,
A jeszcze po nich coś echowo dzwoni...

Marsz żałobny.

Patrz! nowe dziwy: znów buchnęły tony —
Żaloszny akord każdą wstrząsnął struną...
Znów płynie orszak... Słuchaj: jęczą dzwony
Mary, przybrane, w grube kiry, suną,
Powietrze mgli się, we mgłach kraczą wrony
Nad osmetnioną, nad żałobną truną,
Zwróconą wiekiem ku mglistemu niebu —
To marsz posępny, smutny marsz pogrzebny

Nokturny i pieśni.

I w dal odeszła ta procesya chmurna —
Przebrzmiały dźwięki. Słuchajcie!... Słyszycie?
To wybiegł nagle smętny dźwięk nokturna —
Blask księżycowy... gwiazdy drżą w błękitach.
Znów inne tony... wiejska chata kurna,
Wieśniacza dola, ludu myśl i życie,
I radość ludu — ochocza i gminna.
I znów dźwięk nowy, znów melodia inna.

Więc cześć ci, mistrzu! bo twa pieśń zamknęła
W czarownych dźwiękach całą naszą duszę,
Błogosławiła życie — nie przekleła,
I nieraz w rajskich dźwięków zawierusze
Nam zachwycone serca w niebo wzięła —
I jest ku szczęściu serc, i ku otusze,
Na kształt anioła, co, stojąc nad nami,
Dziwnej melodyi upaja tonami...

St. Ostrowski.

NIECO O GWIAZDACH.

(Ciąg dalszy).

Niebo w zimie. Ponieważ konstelacje widoczne na niebie nie są zawsze przez cały rok te same, więc wyobraźmy sobie najpierw, że jest zima i że patrzymy na niebo tak około godziny 7-ej lub 8-ej wieczór.

Zaraz na wstępie poznajemy Wielką Niedźwiedzicę, która w tej porze ma ogon zwrócony w dół; przy jej pomocy odszukamy łatwo gwiazdę polarną, która znajduje się zawsze prawie w połowie drogi między horyzontem a zenitem (tak nazywa się

punkt nieba, położony prostopadłe ponad naszymi głowami). Po drugiej stronie gwiazdy polarnej, a naprzeciw Wielkiej Niedźwiedzicy, t. j. bliżej zenitu, położona jest Kasyopea. Odszukawszy te konstelacje na niebie, łatwo będziemy się oryentować i dalej. Szukajmy w górze nieba nieco na wschód pięknej gwiazdy pierwszej wielkości: to **Koza** (główna gwiazda w konstelacji **Woźnicy**). Poniżej Kozy (prawie w równej odległości jak Kasyopea i po przeciwnej stronie) widzimy dwie piękne, jaśniejące gwiazdy, w małym oddaleniu od siebie: to **Bliźnięta**, dwaj bracia **Kastor** i **Pollux**.

Nie zmieniając stanowiska, mając zawsze gwiazdę polarną przed sobą, zwróćmy tylko nieco twarz ku zachodowi, a wtedy ponad horyzontem ujrzymy jasną gwiazdę pierwszej wielkości, nazwaną **Wega**, w konstelacji **Liry**. Poznać ją łatwo, bo jest ona w równej odległości od polarnej gwiazdy jak Koza, tylko po przeciwnej stronie. Teraz podniesionym palcem naznaczmy sobie linię idącą od głowy Wielkiej Niedźwiedzicy do Liry; ta linia, przedłużona w tym samym kierunku, doprowadzi nas do gwiazdy pierwszej wielkości, położonej między dwiema mniejszemi; jest to konstelacja **Orla**. Poprowadźmy linię od Orla do Kasyopei, to w połowie tej linii spotykamy gwiazdę drugiej wielkości; jest to główna gwiazda w konstelacji **Łabędzia**.

Obróćmy się teraz plecami do gwiazdy polarnej, by poznać stronę południową; mamy wtedy zachód po prawej ręce a wschód po lewej. Zauważyć można z łatwością trzy gwiazdy w równych od siebie odstępach i na tej samej linii; jest to **Laska Jakóbowa**. Gdy te gwiazdy znajdziemy, zobaczymy także odrazu cztery piękne gwiazdy tworzące kwadrat, w którym się Laska Jakóbowa w środku znajduje; cała ta grupa z kilku jeszcze małemi gwiazdami nosi nazwę **Oriona**; jest to najpiękniejsza, najzacieńsza konstelacja. Nad Orionem świeci ładna, czerwona gwiazda; to **Aldebaran** w konstelacji **Byka**.

Poniżej Oriona, naprzeciw Aldebarana, widać najpiękniejszą gwiazdę nocy zimowych; jest to wspaniała **Syryusz** w konstelacji **Wielkiego Psa**. Całkiem na lewo, na linii idącej od Aldebarana do gwiazdy pierwszej wielkości, tworzącej część górnej Oriona napotykamy na gwiazdę pierwszej wielkości, na **Procyona** w konstelacji **Małego Psa**.

W mitologii starożytnej Orion jest olbrzymem, strzelcem straszliwym, który ściga Byka niebieskiego (Aldebarana); jako strzelcowi towarzyszą mu dwa psy, wielki i mały, które idą za nim. Bajka ta pozwoli nam łatwo zapamiętać położenia Oriona, Byka, Wielkiego i Małego Psa.

Istnieje jeszcze inna bajka w tym rodzaju. Tym razem jest to wojownik Perseusz, który dosiada skrzydlatego rumaka Pegaza i spieszy na pomoc młodej księżniczce Andromedzie; przybywa właśnie w chwili, gdy potworna ryba chce ją pożreć... Konstelacja, wyobrażająca rumaka skrzydlatego, tworzy na niebie wielki kwadrat z czterech pięknych gwiazd, które nazywamy **kwadratem Pegaza**. Jest to jedyny, prawie dokładny kwadrat na niebie. Następne trzy gwiazdy tworzą obok kwadratu rodzaj ogona, podobnie jak przy Wielkiej Niedźwiedzicy; są to główne gwiazdy konstelacji **Andromedy**. Po-

wyżej tego ogona, nieco na prawo (zachód) znajduje się **Perseusz**. Straszliwa **Ryba** jest też w bliskości **Andromedy**. Nad **Aldebaranem** (na linii, idącej od Oriona do Aldebarana, po drugiej stronie tegoż i mniej więcej w tem samym oddaleniu) jest grupa małych gwiazd blisko siebie położonych; jest to **Kwoczka**, przez astronomów **Plejadami** zwana. Roźróżnić w niej można sześć do siedmiu gwiazd, lecz przez teleskop widzi się ich o wiele więcej (80), których gołym okiem dostrzedz nie było można.

Niebo w lecie. Zobaczmy teraz jak wygląda niebo w porze letniej, 1-go czerwca. Przypuśćmy, że jest 10-ta wieczór. Zwróćmy się ku północy; prawie wszystkie gwiazdy, obserwowane w zimie w tej części nieba, znajdują się tam, tylko w położeniu odwróconem a wiemy już, dlaczego. I tak Wielka Niedźwiedzica w tej porze świeci w górnej części nieba, podczas kiedy Kasyopea jest poniżej gwiazdy polarnej.

Koza, która była prawie u zenitu, jest teraz na lewo koło horyzontu; Bliźnięta dalej na zachodzie. Położenie ich się zmieniło, ale oddalenie pozostało to samo, więc równie łatwo przyjdzie nam się oryentować. Lirę znajdziemy naprzeciw Bliźniąt w równej odległości od gwiazdy polarnej; Łabędzia poniżej; Orzeł będzie koło horyzontu na zachodzie; na wpół przyćmiony zorzą wieczorną.

Po stronie południowej natomiast widzimy gwiazdy całkiem nowe: konstelacje zimowe przechodziły. Wprost przed nami w połowie wysokości nieba jest wspaniała gwiazda pierwszej wielkości **Arkturus** (w konstelacji **Rataja**). Gwiazdę tę łatwo odszukać, gdyż znajduje się ona na przedłużeniu ogona Wielkiej Niedźwiedzicy. Pod Arkturem świeci piękna gwiazda **Spika** czyli **Kłosa panny**, w konstelacji **Panny**. Wreszcie jeszcze więcej na prawo zwraca na siebie uwagę **Lew**. Lew, Spika i Arkturus tworzą trójkąt na niebie; poprowadźmy linię od Lwa do Spiki i przedłużmy ją, a napotkamy u horyzontu główną gwiazdę **Niedźwiadka**.

Na południowej półkuli nieba jest jeszcze kilka pięknych konstelacji, ukrytych dla naszego oka, między niemi najpiękniejsza: **Krzyż południowy**.

Zodyak. — Astronomowie starożytni, obserwując drogę pozorną, którą słońce w ciągu roku przebywa po niebie, przechodząc koło pewnych gwiazd, podzielili gwiazdy te na dwanaście grup, dzieląc tem samym roczną drogę słoneczną na 12 części. Te konstelacje gwiazd tworzą to, co nazywamy Zodyakiem; każda z nich jest znakiem Zodyaku. Oto nazwy tych 12 znaków Zodyaku: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Niedźwiadek, Strzelec, Koziorożec, Wodnik, Ryby.

Pomiędzy temi nazwami spotykamy się z niejedną już znaną nazwą konstelacji. Mówiono dawniej: „słońce jest w znaku Barana“, dla oznaczenia, że słońce zdawało się właśnie przechodzić przez ten znak. Ponieważ jest 12 miesięcy w roku, więc każdy miesiąc odpowiadał jednemu znakowi zodyakalnemu, i dlatego jeszcze po dziś dzień w kalendarzach oznaczają miesiące znakami zodyakalnemi.

(Ciąg dalszy nastąpi).